XXIV. Kraków, 1 marca 1921 r. Nr 5.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 91 M. 20 f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.**

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 3·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 4·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy Mrkp. 5·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 15·—.

Numer pojedynczy **16 Marek.** **Redaktor: K. Krumłowski.** Numer pojedynczy **16 Marek.**



— Gdy na panią patrzę, przypomina mi się biblijna Dalila!.. O! jakżeż chciałbym być dla ciebie Samsonem!

— Tak, ale siła Samsona leżała w jego włosach!... Gdzie pan straciłeś swoje włosy?



Szalejąca z dniem każdym coraz bardziej drożyzna, stawia nas znowu w tem przykrem położeniu, iż chcąc dalej służyć polskiemu społeczeństwu, zmuszeni jesteśmy podnieść cenę prenumeraty „Bociana".

Odtąd numer pojedynczy naszego pisma kosztować będzie

16 Mrp.

prenumerata zaś kwartalna 91·20 Mkp., półroczna 182·40 Mkp., roczna 364·80 Mkp.

Obecna podwyżka stosunkowo dosyć znaczna, w porównaniu z innemi wydawnictwami nie połączonemi, z takiemi jak nasze kosztami wyda się każdemu nieuprzedzonemu usprawiedliwiona, jeżeli zważy, że wynagrodzenia personalu, papier, chemikalia i t. p. podrożały znacznie Niektóre z niezbędnych do Wydawnictwa naszego pisma artykułów podrożały tysiąckrotnie.

Nie mogąc ich nabyć pomimo wszelkich starań w drodze legalnej skazani jesteśmy na łaskę przemożnego „paska." Utrudnia też sytuacyę niski stan naszej waluty. „Bocian" podrożał stosunkowo najmniej z pomiędzy pism polskich, podnosimy cenę o tyle tylko, aby pokryć wydatki i nie zamknąć rachunku deficytem

Nasi stróże.

„Po pięć marek przed północą
Niema się i spierać o co
Po północy — dziesięć marek
Ma za „szperę" być podarek!
To jest taksa skromna wcale!"
— Uchwalili tak strugale...
Za pół roku będzie setka..
„Niech Magistrat nosa nie tka
Co przy bramie stróże czynią,
Bo mu w bramie nos przyskrzynią!"
Obracają się cerbery
Bo łakome są na „szpery"
A lokator patrzy zdala
Klnie Magistrat i strugala
A chcąc zdzierstwa stawić tamy,
Nosi własny klucz od bramy!

Na pensyi.

Pani profesorka dyktuje swym uczennicom, dorastającym już panienkom, swój wykład:
— Obowiązek obywatelski każdego woła...
Po pewnej przerwie, zwraca się do panny Stasi, znanej z powolności z zapytaniem:
— Panno Stasiu!... Ma pani już „woła"?...
Na to, panna Hela, śmiejąc się złośliwie, mruczy pod nosem:
— E!... I cóżby jej przyszło z niego, choćby go nawet i miała?...

ooo



U lekarza.

Do jednego z krakowskich Eskulapów zgłosił się pewien ksiądz z prowincyi z prośbą o poradę w swem cierpieniu.

Lekarz zbadał pacyenta, poczem pyta:
— A gdzie to dobrodziej nabawił się tej słabości?
— Nie wiem!... — odpowiada zagadnięty — Zdaje mi się przecież, że to będzie następstwem wiatrów, lub też, że bryczka ogromnie trzęsła, gdy kiedyś wracałem do domu z odpustu w sąsiedztwie...
— Co się tyczy wiatrów mój dobrodzieju — lekarz na to — to jest wykluczone... Co się zaś do bryczki odnosi, to, bardzo być może, że to jej wina... Dlatego też radziłbym się pozbyć jej jak najrychlej...
Kiedy mi jej szkoda, gdyż bardzo wygodna i pakowna...
— Być może!... Ale muszę przestrzedz dobrodzieja, że ona się widocznie niemoralnie prowadzi...

Dowejko i Domejko.

(Historya z naszych czasów).

Powiadają ludzie, że w społeczeństwie naszem zamierają już stare rycerskie tradycye, ale jak się pokazuje nie mają racyi. Żywie w sercach naszej młodzieży rycerski animusz, rzadko przecież znajduje sposobność do ujawnienia na zewnątrz,

Pan Stefan Podskakiewicz i pan Karol Gwizdakowski już od lat najpierwszej młodości przypominali bardzo Mickiewiczowskiego Domejkę i Dowejkę, właziłi bowiem sobie nawzajem stale w drogę, choć nie wchodziło u nich bynajmniej, jak u tamtych w grę podobieństwo nazwisk. Owszem różniły się one zasadniczo od siebie, a tyle chyba miały ze sobą wspólnego, że kto jest w dobrym humorze, ten zazwyczaj podskakuje i gwizda.

Antagonizm obu młodzieńców datował się już od szkolnej ławy, na której, za tablicą gdzieś tam w zapadłej mieścinie, starej daty pedagog wpajał w nich tajniki wielkiego i małego abecadła, aż doszedł do kulminacyjnego punktu i wybuchu nie z powodu niedźwiedzicy, lecz panny Frani, ku której równocześnie zapałali gorącym afektem.

Rzekli też sobie, jak owi bohaterowie z opowieści Wojskiego w „Panu Tadeuszu": „Dwu nas, jak dwu słońc pono zadużo na świecie" i szukali sposobności do ostatecznej rozprawy.

Sposobność ta się znalazła. Pan Stefan w przystępie dobrego humoru wyraził się jakoś nieoględnie o Frani, choć tak źle nie myślał, jak mu się wydawało, słowa jego podchwycił przecież rywal i zażądał satysfakcyi.

Pan Stefan, w którego żyłach płynęła krew rycerska, wprawdzie już bardzo rozcieńczona, nie odmówił i po załatwieniu koniecznych w takim wypadku formalności, znaleźli się obaj zapaśnicy w drodze na Bielany, gdzie się miała odbyć honorowa rozprawa. Swiadkowie zajścia tłómaczyli wprawdzie obydwom na rozum, że obraza nie była tego rodzaju, aby wymagała krwi, ale powiedzieli sobie. „trzeba raz rzecz skończyć, Bóg nas, czy dyabeł złączył, trzeba rozłączyć" i idąc śladami Domejki i Dowejki, postanowili się strzelać, lecz nie o skórę niedźwiedzią, gdyż jej nie mieli, ani też przez skórkę panny Frani, tę bowiem nosiła na sobie jeszcze ich bogdanka i nie miała bynajmniej pozbyć się jej ochoty.

Śmierć jemu lub mnie!... — mówił z zaciekłością pan Karol, potrząsając groźnie w braku miecza, parasolem.

Jeden z nas musi tam zostać!... — dodawał z rezygnacyą pan Stefan, choć żal mu było życia. Wierzył też w swą szczęśliwą gwiazdę, pod którą przyszedł na ten świat, otuchy dodawał mu nadto niski wzrost i szczupłość, wobec czego jak sądził, pocisk tak łatwo go nie trafi. Wczesnym rankiem jechali więc dwiema dorożkami na Bielany. Swiadkiem pana Stefana był przyjaciel jego serdeczny i powiernik, aptekarz z zawodu, który też miał podczas pojedynku, jako znający się na opatrunkach, zastąpić dla oszczędności lekarza.

Na Zwierzyńcu przeszła im drogę stara baba, w Przegorzałach przebiegł zając...
— Złe znaki!... — rzekł pan Stefan do kolegi. — Mam jakieś złe przeczucie...
— Śmiej się z tego!... — pocieszał aptekarz — Wszystko będzie dobrze... i tylko nie trać odwagi. Na kuraż łyknij sznapsa!...
I podał mu flaszkę, którą wyjął z kieszeni.
Pan Stefan łyknął raz i drugi, poczem, podając flaszkę przyjacielowi, zauważył:
— A ty nie?...
— Wiesz przecież, że mi nie wolno!... Mówiłem ci przecież jaką pamiątkę wyniosłem z tegorocznego karnawału... — odpowiedział zagadnięty.
Prawda!... Zapomniałem!... Ach!... ta miłość taka cudna, a jednak ma swe kolce...
— O tak, westchnął gorzko aptekarz — Za chwilę szczęścia musi się potem pokutować miesiącami...
— To prawda!... A ja nic nie użyłem, a kto wie, czy nie śmierć mnie czeka... Ty się wyleczysz, jako aptekarz nic cię to zresztą nie kosztuje...

Zdala widać już było wieże bielańskiego klasztoru, panu Stefanowi przyszło na myśl, że ogląda je może poraz ostatni w życiu osowiał też i zamikł.

Po chwili zatrzymały się dorożki przy drodze, przybyli udali się w głąb lasu, polecając woźnicom, aby zajechali przed karczmę i tam czekali na ich powrót.

W milczeniu, jak tego wymagała powaga chwili, skierowano się ku niewielkiej polance, zwykłem miejscu rozpraw honorowych. Ciszę



Opodatkowani żebracy

Znalazła Fiskus w Budapeszcie
Dochodowe źródło wreszcie:
Brać podatek od żebraków!
W ślad węgierski ma pójść Kraków.
Gdy się dziady dowiedziały
Postrach na nie padł niemały
Toż zrobili wiec dziadowski
Na Magistrat, na krakowski
Była moc dziadowskiej braci:
Ślepi, głusi, trędowaci
Połamani, pokręceni
Wszystko, co się dziadem mieni
Szli w obronie swego trzosa
(Jeden nawet był bez nosa) —
I głos zabrał jeden mowca,
Że Magistrat prześladowca,
Że rozbójnik i padalec
Między dziadów wsadza palec!
Jakie prawo ma i racyę?
Więc wybrano deputacyę,
Niech Magistrat powie ściślej
Co pod nazwą „dziadów“ myśli?
Rezolucya Magistratu
Dana dziadowskiemu światu:
Logiczności chyba nie brak
Że dziad znaczy to, co żebrak,
I podatek — nie ma rady! —
Muszą płacić wszystkie dziady
Są od tego wyłączeni
Literaci i uczeni
I jak sprawiedliwość każe
Super-dziady: dziennikarze...

Nie dojrzał!

Na pierwszym wykładzie zwraca się profesor do słuchaczów medycyny ze słowami:

— Zawód, jaki sobie panowie wybraliście, wymaga bardzo wiele zaparcia się siebie i poświęcenia dla cierpiących... Trzeba umieć zachować zimną krew, przedewszystkiem zaś trzeba umieć patrzeć i widzieć to, czego kto inny dojrzeć nie potrafi, gdyż niedopatrzenie może czasem za sobą pociągnąć fatalne skutki dla obu stron... Zaraz panom dam przykład...

To rzekłszy, włożył palec w otwór cielesny zwłok, przygotowanych do wykładu, a potem sobie do ust... i zwrócił się do słuchaczów z zapytaniem:

— Który z panów potrafi to wykonać tak samo, jak ja?

Zgłosił się pan Izaak Kohn i powtórzył całą manipulacyę z zupełną, jak mu się wydawało, dokładnością.

Profesor śledził bacznie jego ruchy, poczem rzekł:

— Tak!... Zaparcia się i poświęcenia okazał pan wiele... Pańska zimna krew jest podziwu godna!... Muszę jednak na jedno zwrócić pańską uwagę... Trzeba uważniej patrzeć!... Nie dojrzał pan jednej rzeczy! Ja włożyłem do zwłok palec wskazujący, a sobie do ust trzeci, pan natomiast jeden i ten sam...

Panu Kohnowi zrobiło się słabo. Do medycyny poczuł odrazę i zaraz nazajutrz przeniósł się na wydział prawniczy, nie wymagający tyle poświęcenia i zaparcia się...

Mama, lubiąca porządek

— Tak, moja pani, nici z tego... Mania zerwała z narzeczonym... Bo i co pani powie na to... Siedzą sobie razem w pokoju i czytają jakąś tam książkę, a ja, moja pani, podsłuchuję pod drzwiami, bo to z mężczyznami nie można być dość ostrożnym... Przerwali czytanie, on ją wziął w pół... Ja nic!... Potem ją pocałował... Ja nic!... Podeszli obydwoje ku kanapce i tam zaczęli się dalej ściskać i całować... Ja jeszcze nic... Ale, gdy, moja pani kochana, podszedł potem do firanki, która wczoraj wyprana, a pani wie jakie teraz mydło drogie, i wytarł sobie w nią ręce, dłużej nie mogłam już wytrzymać, wpadłam do pokoju jak bomba i dałam mu po pysku... O, bo ja lubię porządek...



Książęta i hrabiowie.

Co w tej Polsce się wyrabia!
Stracił swe znaczenie hrabia
I co wprost nie do pojęcia
Dziś nie cenią nawet księcia!
Ci książęta, co zdradzili
Kraj ojczysty dla moskali,
Ci hrabiowie, których chwała
Że im Austrya tytuł dała,
Co korzyli się z zapałem
Przed królewskim urynałem?!...
Czyż ma zniknąć jak Galicya
Cała szlachta i tradycya?
Tylu durniów, idyotów!
Duch przewrotu zdmuchnąć gotów!
Znieść przesławnych nazwisk szereg?!...
Nie! — Pocieszył nas „Kuryerek“
Według jego wiedzy szczerej
Są książęta jeszcze czterej
I co sobie w pamięć wraż cie,
Że i hrabiów jest trzynaście!
Tak to „Kuryer“ ze swej płachty
Zrobił almanach dla szlachty!

— — — — — — — — — — — —

Czy to były wasze cele?
Mówcież — wy! założyciele
„Codziennego Kuryerka“!...
Powiedz duchu ty Kleinberka
To ciekawe będzie nader!
Powiedz Mecenasie Bader,
Powiedz czyś chciał panie Rose,
By „Kuryerek“ miał tą pozę?

---

mącił i przerywał rażący głos gawrona. któremu się z pewnością wydawało. że śpiewa i to do tego bardzo pięknie...

— To mnie on tak kracze!... — mówił pan Stefan.

— A może tamtemu — pocieszał aptekarz — On idzie w pierwszej parze i jego gawron ujrzał wcześniej...

Po przybyciu na miejsce, świadkowie zabrali się energicznie do dzieła oznaczyli odległości, otworzyli kasetę z pistoletami, opatrzyli je, i nabili, aptekarz wyjął z kieszeni płaszcza materyały opatrunkowe. Obaj przeciwnicy stali z boku, nie patrząc nawet na siebie.

Gdy już wszystko było przygotowane do krwawej rozprawy ustawiono obydwuch na wyznaczonych miejscach, poczem jeden ze świadków wygłosił uroczystą przemowę, starając się raz jeszcze pogodzić przeciwników...

— O nie!... — rzekł tym razem dla odmiany pan Stefan. — Jeden z nas musi tu zostać!...

— Daj pokój Stefek! — przerwał mu aptekarz. — I cóż robiłbyś tam o tej porze gdy nawet psa niema?... W Zielone Święta to co innego!... Wtedy możesz się zabawić...

Ponieważ próba pogodzenia nie odniosła pożądanego skutku, podano rywalom pistolety, polecając uważać na słowa komendy, którą objął świadek pana Karola, jako starszy wiekiem i doświadczony w załatwianiu spraw honorowych.

— Raz!... — rozległ się jego głos ponury choć nieco drżący w tej zaś chwili opuścił pan Karol podniesioną już rękę, w której dzierżył śmiercionośne narzędzie i ze słowami: „Przepraszam na chwilkę!... Zaraz wrócę!..“ zniknął w krzakach, widocznie bardzo się spiesząc...

— Stchórzył!... — rzekł pan Stefan z pogardliwym uśmiechem. — Nie pozostaje mi nic innego tylko oddać strzał w powietrze!...

— Ale niech się pan spieszy!... — świadek mu na to — On tam robi to samo i zaraz będzie gotów... Już się zapina...

— Pan może źle zrozumiał!... Ja wystrzelę z pistoletu w powietrze...

To się jednak okazało zbytecznem, gdyż pan Karol był już na stanowisku.

— Możemy zaczynać!... — rzekł do swego świadka.

— Raz!....

W tej jednak chwili pan Stefan zaczął się kręcić niecierpliwie, poczem podał aptekarzowi pistolet i zniknął pospiesznie w krzakach.....

— Stchórzył!... — odezwał się odezwał się teraz pan Karol, uśmiechając się złośliwie.

— O nie!... — bronił aptekarz przyjaciela—. Stefan jest odważny, słabo mu się jednak zrobiło... Ale to przejdzie.

— Jestem gotów!... — zawiadomił pan Stefan stając na mecie.

— Raz!... — zakomenderował świadek, w tej jednak chwili obaj przeciwnicy rozbiegli się z jeszcze większym, niż poprzednio pospiechem, w dwie poprzednie strony...

— A to co znowu? — zauważył świadek Karola.

— A cóż by?.... — odpowiedział uśmiechnięty z zadowoleniem aptekarz. Pańskie perory nie sktkowały, pomogła moja wódka i ona ich pogodziła... Postarałem się o to, by Karol przed wyjazdem napił się jej w mieście... Stefana poczęstowałem w drodze... Zawód mój nie pozwala mi przykładać ręki do podobnej zbrodni... Moim obowiązkiem jest ratować ludzi od śmierci, a nie pchać do niej... Niech im pan jednak o tem nic nie mówi...

Gdy się znów zjawili obaj na swych stanowiskach, spróbowano raz jeszcze, czy się nie uda pogodzenie. Opierali się, lecz już z mniejszą energią, poczem podali sobie ręce, świadkowie orzekli, że honorowi stało się zadość a pogodzeni wrogowie zniknęli znów w krzakach...

Powrót do miasta odbył się już w wesołym nastroju.

— Ty jednak coś do wódki dodałeś — zagadnął pan Stefan. — Skądżeby tak nagle....

— Zdaje ci się — bronił się aptekarz. — Czysto ziołowa wódka aptekarska.... Odwaga ma jednak swą siedzibę w sercu, a potem jak twierdzą uczeni idzie w pięty, po drodze atakując różne inne części organizmu...

— Nie zawracaj głowy!... Ja wiem, że to twoja sprawka!... I to mnie cieszy, że ja po twojej wódce, a nie ze strachu...

Czy i dalszym ciągu, będzie tak, jak powiada Mickiewicz:

> „Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił
> I Domejko się z siostrą Dowejki ożenił,
> Dowejko pojął siostrę szwagra Dewejkówną,
> Podzielił majątek na dwie części równe“.

to się dopiero pokaże, gdyż obaj mają siostry i pieniądze, których jedend orobił się na rublach denikinowskich, drugi na handlowych spekulacyach.



Kokota: Gwałtu! nudzi mi się!... Z samych nudów gotowam zostać na cały dzień uczciwą kobietą!...



Herkuleska: — A co? moje muskuły!... Byłabym wstanie zdusić lwa.

— Tymczasem, moja droga, trenowałaś się na osłach!



Mąż: *(do żony wychodzącej wieczorem)* — Czy mam cię czekać z kolacyą?

Żona: — Nie, nie!.. W każdym razie niech kawa będzie gotowa na 8-mą rano!



Żona: — Przeczuwam jakieś nieszczęście dla naszej miłości! . Zdaje mi się, że miecz Kolumba wisi nademną!...

Mąż *(poprawiając):* — Chciałaś zapewne powiedzieć Jajko Damoklesa!



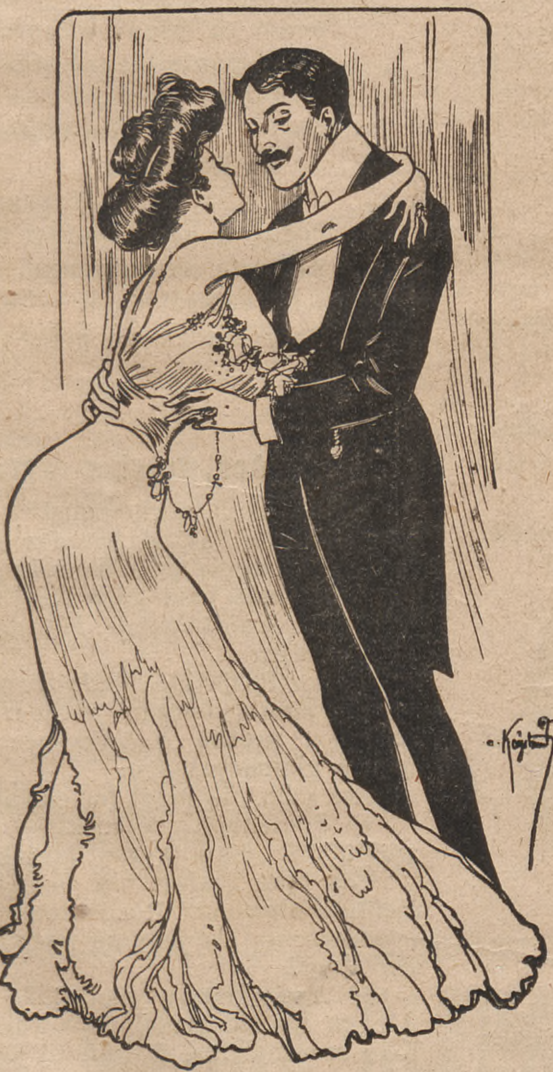
— Gdy mi zaczął przysięgać miłość — stra-ciłam od razu głowę.

Przyjaciółka *(z ironią):* I ty to głową nazywasz?



— Tak Mimi! moja rodzina sprzeciwia się naszemu małżeństwu. Matka mówi, że zapominam o urodzeniu.

— Śmieszna stara!.. To przecież należy do mnie, a zresztą na to mamy czas jeszcze!



— Więc jutro 12 w nocy wykradam cię mój skarbie. Żeby tylko mąż nie domyślił się...

— O! bądź spokojny!.. Mego męża uprzedziłam już o tem!



— Co tak pilnie studyujesz

— Jakie są przyczyny teoryi o zmniejszaniu się liczby urodzin?

— Jakie? Ja ci powiem bez książki!.. Bo wielu studyuje teoryę, a za mało oddaje się teoryi!|

Ferdek Eleuteryk.



Bez kilka dni w kużdym tygodniu mamy teroz takie wiatry (mom na myśli te, które wieją z góry nie z dołu), że se nieroz człowiek suszy swom makuwe nad tym, co może być tygo przyczynom. Drapie sie tyż kużdy w łysine, ale nic stamtąd wydrapać nie jest mogący.

Jedni godają, że sie wiatr zaraził od ludzi, którzy sie tak w karnawole rozdyrdali, że sie nie mogli wstrzymać nawet w wielgim poście i hulo sobie, karnawoł urządzajoncy, ale to mi sie nijakim sposobem nie chciało być prawdopodobnem. Pomyślołem se tyż, że najklawiej bedzie, jeżeli poknajom po jenformacyje do samyj głowy, to jest do cyntrali od wiatrów górnych w obsrvwatoryjum w botanice (przy tyj samyj ulicy jest i cytadela od dalszych wiatrów w szpitalu św. Łazarza, kto dmuchać nie jest mogący niech się tam zgłosi...).

W obsrywatoryjum zastałem ino woźnygo, zajętygo pucowaniem lornety, bez ktuom w nocy prefesury oglondały przyrodzynie Marsa, Wenery i Merkurego. Taki prefesur, który im zaglondo bez lornete, nazywo sie astronom, urzynduje w nocy, a w dzień jest se kime urzondzajoncy. Kużdy z nich zno sie klawo i na wiatrach.

Ale, jakże mi mioł wytłómaczyć, kiej go nie było? Żałowałem, że darłem adachy po próżnicy, na wszelaki przecież wypadek, aby nie być z próżnemi grabami (ale nie w czeskim tygo słowa zrozuminiu!...) odchodzoncym, zapytołem onygo woźnygo, czy nie jest wiedzoncy, co się tyczy wiatrów.

Zrobiuł poważnom minę, jak zreśtom kużdy uczony i spytoł:

— To i panu dokuczajom wiatry?.. Już tu było kilka osób w tem jenteresie, ale sie pomyliły, bo my nie jesteśmy od tych wiatrów, na które oni cierpią... Z tem trza sie zgłaszać do szpitala...

— Otóż właśnie — jo mu na to — że jo z tamtemi wiatrymi nic wspólnygo nie jestem majoncy!... Jo właśnie przyknajcłem do panów skróś tych wiatrów, które się tutaj puszczo...

— To pan się myli... My ich nie puszczamy, ino łapiemy, obliczamy, a potem to se one lecą dalej... My nimomy własnych krajowych wiatrów...

— To pan jest może prefesur od wiatrów?... — zapytołem, udający głupigo, bo wiem, że te uniwersyteckie służące bardzo lubiom, jeżeli sie ich tytułuje prefesurami. Z wdzinczności za to wlozby ci kużdy bez wazeliny, gdzie zechcesz... Co to zresztą szkodzi, być komuś frajdę robiącym, zwłaszcza, jeżeli to nic nie kosztuje...

Chyciułem też tem pytaniem chłopa, niczym okonia na wędkę, a aby haczyk prędzy był połykający, dodałem:

— Bo, widzący pana dobrodzieja przy tyj lufie — tu wskazałem na lornete, czyli teliskop — myślołem se, że to chyba ino prefesur jest się z tem obchodzić umiejący... Jo miołbym boja, zbliżyć się do tygo. A nuż strzeli? Choć daleko jestem, portugaliami z przeproszyniem trzęse ze strachu.

Uśmichnon sie łaskawie i powiado:

— Od wiatrów nie jestem i prefesorem tyż nie bendoncy, choć prawde muwioncy, makuwe mom nie od parady. To tysz pan derektur oddał mi najważnijszą czynność. Codzinnie o dwunastyj daje telefonem znać na wieże Maryjackom, że już połednie i czas zabirać sie do fryganio.

— To bardzo ważna czynność!... Gdyby nie pan dobrodzij, nawet nie bylibyśmy wiedzoncy, kiedy sie nam chce jeść. Bardzo sie ciesze, że miałem ten honur, poznać taką zasłużoną dla miasta osobę... Ale, w takim razie o wiatrach nic się nie dowiem?

— To jest tak!... Ja to panu zaraz wytłomacze. Ja mógłbym coś o tem powiedzieć, bo to przecież i to i owo obija się człowiekowi o uszy, gdy prefesury gwarzom ze sobom, ale cóż z tygo, choćbym to panu powtórzył, gdy pan tego zrozumieć nie bedzie mogoncy? Na to trza mieć takie wykształcynie, jak my mamy...

— My?... Pan myśli mnie i siebie?

— Nie! Siebie i mojego prefesura. Co sie zresztąm wiatrów jest tyczonce, to jest to sprawa dotąd niezupełnie wyjaśniona. Że wieją, to fakt, ale skąd wieją i dlaczygo, oto pytanie, na które my, uczeni, nie mogemy jeszcze dać odpowiedzi...

— Otusz, o to mi sie rozłaziło!... — jo mu na to — Skoro pan nie wi, to adje!...

I poknajołem do Morycego na Abe, aby se łyknonć bolszewika na spyndzenie wiatrów, i tu dopiro byłem sie dowiadujoncy (od jednygo z tych co też wiatry u Morycego puszczali i straśnie pryndko odwalili kite) że te wiatry, to nic innygo, ino nastympstwo ciongłygo mielenia ozorami na różnygo rodzaju posiedzyniach, kumisyach, kumitetach... Godajo brzany, bo je ozór z przyrodzynio świrzbi, ale o równouprawninie z niemi starają sie i chłopy i stond te wiatry...

Damskie wojsko.

Jakiż to tam idzie żołnierz?
Srebrnym sznurkiem szyty kołnierz
I spódniczka na wzór szkocki
Pod nią łydki jak dwa klocki,
W zgrabny bucik skryta nóżka
A pod bluzką dwa — jabłuszka
Lecz nie każda znowu bywa
Zgrabna ani urodziwa.
Jedna idzie jak kobyła
Co się marszem p zemęczyła
Tamta skacze niby koza,
Co urwała się z powroza.
„Baczność!... Raport!..." — więc usłuchnij!
Ktoś ty?...
— Kapral!...
— Won do kuchni!
A ty?
— Sierżant!..
— Do stu kieeek!
Sierżant! marsz! pilnować dzieeek!
Ta wygląda na starszyznę
Więc niech idzie prać bieliznę
A ta znowu, ta śmiejąca,
Czem w cywilu jest?
— Służąca!
Bardzo dobrze! tęgie nogi!
Froterować idź podłogi!...
Wasza praca was wykarmi,
Nie zjadajcie chleba armii!





Po czem poznał?

Do drzwi pokoju w zajeździe w małem miasteczku, z poza których dobiegają wesołe śmiechy i bardzo tłuste zwroty, puka żebrak i prosi:

— Niech ojcowie przewielebni raczą wspomódz biedaka!...

Drzwi się otwierają, wystawia z poza nich głowę w samej rzeczy osoba duchowna i pyta:

— A ty skąd się dowiedziałeś o tem, że tutaj są księża?

— Poznałem to — tłómaczy zagadnięty — po rozmowie duchownej!...

Adwokat i ekspres.

Wedle p. 4. ust. z 21/I. 1921. Dz. U. L. 13. par. 73. należy się adwokatowi za każdy kilometr pieszej drogi 50 fenigów.

Dawniej, gdyś miał interesa
Toś zawołał na ekspresa,
Leciał ekspres, tani goniec
Z końca miasta w drugi koniec
Ale dzisiaj, w naszym czasie
Wołać będziesz: „Mecenasie!"
Do lombardu weź ten pakiet
Są w nim portki i jest żakiet!
Ale nie trać ani chwilki!
Albo: „Zanieś bukiet do Marylki
Tej z baletu!... Tylko żywo!
Oprócz kursu dam na piwo!"
Lub: Interes mam maleńki:
Czy mecenas zna panienki?
— Cobym nieznał? Jakie gusta?
Ma być szczupła czy też tłusta?
Znam tu gdowę odpowiednią,
Że to panie klękać przed nią!..."
— Czem był mąż?
— Nie miała wcale?
— Ma kochanka?
— W kryminale!...
Pójdą w kąt ekspresi nasi
Zastąpią ich mecenasi
I na odwrót znów — ekspresy
Poprowadzą ich procesy!..

Ach, te obce wyrazy!

Panna Rózia, córka państwa Kohnów, otrzymała właśnie list od narzeczonego z Wiednia. Pisał, naturalnie po niemiecku, co następuje:

— Komme bald nach Krakau. Sofort nach meiner Ankunft werde ich dich, liebe Rosa, avisieren...

Panna Rózia nie mogła zrozumieć tego ostatniego słowa, obcego pochodzenia, udała się zatem z prośbą o wytłómaczenie do brata, ucznia gimnazyalnego.

Ale i on nie mógł jej ciekawości zaspokoić.

— Poczekaj!... — rzekł — Popatrzę w słowniku... To jakiś wyraz łaciński...

Pod ręką znalazł się jednak tylko słownik łacińsko-niemiecki. Rozpoczęto szukać we dwoje i znaleziono, ale jedynie podobny wyraz: *Avis, der Vogel.*

— Avisieren niema!... — mówił brat — Ale to najwidoczniej czasownik, urobiony od tego rzeczownika. Co miałby znaczyć, tego nie wiem!...

— Ja już wiem!... — zawołała panna Rózia, rumieniąc się po same białka — pisać podobne rzeczy i to na otwartej kartce... Już ja mu natrę porządnie uszu, niech się tylko pokaże!...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Pokazuje się, że czasem nawet cygan, a raczej cyganka, powie prawdę. Swojego czasu wywróżyła mi pewna cyganka, że na miejscu nigdy długo nie usiedzę i że będę mieć bajeczne szczęście do kobiet. Wówczas śmiałem się z tego, dziś widzę, że się to sprawdza. Ale ona widocznie nie brała swej przepowiedni tak dosłownie, jak ja. Ja miałem na myśli siedzenie na stołku (broń Boże nie w kryminale!), dziwnemi wydawały się też jej wróżby, zwłaszcza, że na hemoroidy byłem wówczas za młody, a do czechów nie miałem nigdy zbytniej skłonności. Widocznie chciała mi dać do zrozumienia, że życie moje będzie bardzo ruchliwe i co do tego, to się bynajmniej nie pomyliła. Bo, na jeden miesiąc i to do tego tak krótki, jak luty, chyba dosyć. San Marino, Monaco i Paryż. Obecnie jestem już nad ukwaną, stąd zaś, że to już wiosna za pasem i bociany wracają, czas i mnie pomyśleć o zatrąbieniu do odwrotu.

O wyjeździe z San Marino już w poprzednim liście wspominałem, obecnie napiszę krótko o pobycie w Monaco, gdzie bawiłem w celach politycznych, nie zaś, aby spróbować szczęścia. Nie jest mi na imię Wojtek nie grywam przecież z zasady, jeśli zaś dam się wyjątkowo skusić, to mam takiego pecha, że się poprostu na płacz zbiera. Ale trudno... Kto ma szczęście w miłości, nie może go mieć w kartach, a mnie przecież cyganka wywróżyła... Miałem za zadanie zbadać tutejszy teren natury finansowej i przedłożyć ministrowi Steczkowskiemu referat, czy coś podobnego nie dałoby się u nas zaprowadzić.

Po przybyciu na miejsce pytam zatem o adres ministra skarbu, ale wypatrzono się na mnie, jak na raroga.

— No!... Taki pan, co to wymyśla podatki — objaśniłem.

— Jakie podatki? — zapytał mój informator.

— No, takie, jakie opłacacie w myśl zdania Pisma św. „oddaj Bogu, co boskie, a cesarzowi, co sesarskie“...

Zaśmiał się.

— Cesarza nie mamy, tylko księcia, podatków nie płacimy żadnych, wobec czego obejdzie się i bez ministra finansów...

Myślałem początkowo, że ze mnie kpi, nie mogło mi się bowiem w głowie pomieścić, aby mógł istnieć na świecie kraj bez śruby podatkowej z kurkami i bez kurków, inspektorami, egzekutorami i t. d., by miłujący ojczyznę obywatel mógł nie płacić podatków. A jednak jest taki raj na ziemi, a jest nim Monaco. Za tamtejszych obywateli płacą podatki ci głupcy, którzy zwożą tutaj złoto z całego świata, a wyjeżdżają stąd bez... portmonetki, co przecież zdrowiu ich nie szkodzi, gdyż ciągle jest ciepło, nawet wtedy, gdy jest zimno. Nieznane też są tutaj Inspektoraty węglowe, Urzędy rozdziału węgli i tym podobne bolączki, dające się nam we znaki jako spadek po ś. p. cioci Austryi.

Żyć tu zatem nie umierać i, gdyby nie to, że kocham Kraków i za nim tęsknię, starałbym się stanowczo o tutejsze obywatelstwo.

Niema ministra finansów, niema zatem podatków, wobec czego moja misya była skończona. Oglądnąłem jedno i drugie, co było godne obejrzenia, złożyłem bilet u księcia i ulokowałem się, to jest siadłem na samolot i wybrałem się w dalszą drogę.

Pierwotnie miałem zamiar zboczyć jeszcze do Werony, aby tam zaopatrzyć się w salami, w sam czas przypomniałem sobie przecież, że to wielki post, że zatem nie powinno się obciążać żołądka, przeciwnie należy ulżyć duszy.

Powiedziałem sobie zatem, że wstąpię do najbliższego klasztoru, jaki się trafi po drodze i tam odprawię ze skupieniem i nabożeństwem wielkanocne rekolekcye.

Trzeba jednak mieć takiego pecha, jaki ja mam, albo takie szczęście do kobiet, jak owo, które mi cyganka wywróżyła... Klasztorów we Włoszech nie brak, niedługo też spostrzegłem wieże i mury, które świadczyły, że to klasztor. Spuściłem się zatem z góry w piękny sposób na obszerny trawnik ogrodu klasztornego. Powitał mnie pisk i krzyk, pokazało się, że to klasztor żeński. Nie czekając, aż spotka mnie jakie nieszczęście — a z podwórza dochodziło wściekłe ujadanie psów — siadłem na samolot i poszybowałem w górę jeszcze szybciej, niż to było przy spuszczaniu się.

Dopiero, gdym był już na wysokości kilkudziesięciu metrów, rozglądnąłem się i palnąłem się sam z oburzeniem w czoło, mówiąc:

— Jaki z ciebie osioł, mój ty Klapa!... Nie widzisz w ogrodzie na sznurach suszących się majtek damskich, pończoch i innych podobnych części garderoby, z któremi w męskim klasztorze spotkać się trudno?... I pocóżeś się niepotrzebnie spuścił?...

Zły sam na siebie zrezygnowałem z odbycia rekolekcyi i poszybowałem wprost do Paryża, gdzie przybyłem nazajutrz po odjeździe Naczelnika Piłsudskiego, który, nie mogąc się mnie doczekać, odjechał, ale zostawił ministra Sapiehę, aby się ze mną porozumiał w kilku ważnych sprawach, zanim znowu ruszę w dalszą drogę.

W Paryżu otrzymałem list *express* od mojego przyjaciela, prezydenta San Marino. Pisał, co następuje:

„Nazajutrz po Twym odjeździe znikła i moja żona. Przypuszczam, że podążyła za Tobą. Zazdrosny nie jestem, nie mam też do Ciebie urazy. Podaj mi jej adres, bym jej mógł odesłać rzeczy i skargę rozwodową. Żenię się z inną, którą już dawniej miałem na oku... Może przyjedziesz na ślub... Ale mi i tej nie zbałamuć!

Co jednak gorsze, że równocześnie z moją starą zbiegł i mój starszy czeladnik a zarazem i podsekretarz stanu... To już strata, której tak łatwo jaktą, zastąpić się nie da“...

No!... I proszę mi powiedzieć, czy ja nie mam byczego szczęścia do kobiet... Dowód, że jestem dotąd kawalerem. Szczęście jednak szczęściem, a tradycye rodowe Klapów tradycyami. W naszym rodzie kawalerstwo jest dziedziczne, niewątpliwie też pójdę w ślady przodków, zostawiając swym potomkom piękny przykład po sobie, jak należy być wiernym swym zasadom.

O pobycie w Paryżu opowiem już ustnie, gdy się znajdę w Krakowie, na razie ściskam wszystkich, polecając się Ich pamięci przy nadchodzących Świętach.

Klapa.



Straszny sen.

— Ja tej nocy potrzebowałem mieć bardzo straszny sen — opowiada znajomym pan Salomon. — Ja byłem dawniej w Konstantynopolu i prowadziłem tam interes.. Mnie się śniło, że ja tam znowu jestem, że handluję z gorącem kukurydzem i z twardymi jajkami... I ja z tym towarem potrzebowałem do haremu sultana, bo te panienki, które tam są, to one bardzo lubią jajka na twardo... I było wszystko w porządku, interes szedł, one brały moje jajka, a ja od nich piastry... Ale w tej chwili nadszedł taki pan, co się nazywa eunuch, a który pi.nuje te panienki... Jak mnie tylko zobaczył, krzyknął po turecku: „Dawaj jaja!“ i skoczył ku mnie z nożem... Ja zacząłem uciekać, pogubiłem w drodze ze strachu moje jajka, a gdy się obudziłem, to w łóżku było całkiem mokro... Aj waj!... Taki sen, to jest bardzo straszny sen i człowiek może się spocić ze strachu...

Nadesłane.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. Stefana Kaczmarskiego.



— Mój staruszku! Jedźmy do Zakopanego!... Czy ty lubisz ładne widoki?
— Pasyami!... Dla tych widoków właśnie zostanę w Krakowie!...